

Miałem tylko parę butelek po winie, a Józio, jak zwykle, pełen wózek makulatury.

Kolejka przed skupem u Grubego była wyjątkowo długa, może dlatego, że dzień – mimo połowy listopada – był słoneczny i niespodziewanie ciepły. A może ludziom chciało się po prostu pogadać. Zimą już tak nie będzie, wiadomo.

Rzadko rozmawiam z innymi (nie znoszę tego towarzystwa bez dachu nad głową, z którym przyszło mi od pewnego czasu obcować), odstawiam, co zbieram w ciągu dnia, przytulam parę złotych i spadam na własne śmieci. Józio robi dokładnie to samo. To pocziwe chłopisko, taki duży miś o małym rozumku. Przyplątał się kiedyś, pomógł mi naprawić wózek, pogadaliśmy, uśmiechnął się i... zostaliśmy partnerami.

Nie znam nikogo, kto by miał taki talent do zbieractwa, makulaturę przyciąga niczym magnes. Niby do dwóch zliczyć nie potrafi, ale do skupu odstawia najwięcej.

Trochę mnie znużyło wtedy to oczekiwanie w kolejce. Józio był zatopiony w swoich myślach, dość często mu się to zdarza. Nie przeszkadzałem, nieraz wymyślał takie historie, że rozdziawiałem gębę ze zdziwienia.

Wziąłem do ręki pierwszą z brzegu gazetę, choć mój kompan miał ich do wyboru, do koloru. Przerzucałem pobieżnie strony, już miałem ją odłożyć, ale rzucił mi się w oczy pewien artykuł. Przeczytanym postanowiłem podzielić się z niepiśmiennym.

– Patrz, Józiu, co tu w tym szmatławcu stoi. Aż się wierzyć nie chce.

Józio zamrugał oczami, wracając z chmur na ziemię.

– Najwięcej nieszczęśliwych wypadków przytrafia się w domu – kontynuowałem. – Ludzie łamią ręce i nogi, rozbijają głowy na śliskich płytkach w łazience, dławią się zakąską lub popitką, ucinają sobie siekierą lub piłą palce, nieraz nawet całą dłoń. Niektórzy skracają skutecznie kark, spadając nieostrożnie ze schodów. Zagrożenia i śmierć czają się po kątach.

– Straszne to i takie smutne, Stasiu, co nie? – ni stwierdził, ni spytał Józio.

– Nie wiem, dla poszkodowanego pewnie tak, dla innych radość.

– A dlaczego radość, Stasiu?

– A mało to jest czyhających na spadek po bliskim? Cieszą się cholerne darmozjady, gdy spadkobierca odchodzi na tamten świat, wychodząc niespodziewanie naprzeciw ich finansowym oczekiwaniom. O tych, co chcą przechwycić odszkodowanie za uszczerbek na zdrowiu najbliższych, nawet nie warto wspominać. Ludzie to hieny, Józiu, tylko czekają, żeby się człowiekowi noga powinęła. Zdrowych też nie oszczędzą.

– A wiele ich jest, tych hien?

- Nie wiem, nie podają takiej statystyki.
- Ja myślę, że wiele. – Józio wyglądał na przybitego swoimi przemyśleniami.
- Nie przejmuj się innymi. Ich sprawa. W naszym towarzystwie hieny nie miałyby się czym pożywić. Ja nie spisałem testamentu, ty pewnie też nie.
- Ja też nie – potwierdził Józio, ciężko myśląc.
- No widzisz. Mamy szczęście, że nie mamy nic. Na dodatek żaden nieszczęśliwy wypadek w domu nam się nie przytrafił. Bezdomni nie muszą się o to martwić.
- Życie jest jednak piękne, Stasiu, co nie? – Wyszczrzył zęby, twarz mu pojaśniała. Lubię patrzeć, kiedy się uśmiecha. Wszystko dookoła wtedy pięknieje.

W szampańskim humorze ruszyliśmy ze skupu do najbliższego monopolowego. Idąc, śmialiśmy się jak głupi do sera, ale ostatecznie nabyliśmy dwa wina musujące i udaliśmy się na łąki, żeby uczcić udany dzień.

Usiadłem w pożółklej trawie, a Józio poszedł za potrzebą do pobliskiego lasku.

Nagle pojawiło się dwóch – napakowanych i ocechowanych tatuażami jak młode byczki. Czasami się tacy człowiekowi przytrafiają. Tym razem nie wywinąłem się, dostałem niezłe bańki. Za deptanie trawnika. Rozbity nos, podbite oko, dwa pęknięte zębra, złamana ręka. Zabrali przy okazji wino. Znikąd nie było pomocy.

Józio pojawił się przy mnie jakąś godzinę po fackie. Nie określę dokładniej. Na szczęście nie noszę zegarka, też by mi go pewnie zabrali.

– Wszystko widziałem – powiedział – ale się nie wtrącałem, bo byli w przewadze. Ty jeden, ich dwóch, co nie?

Co by nie powiedzieć, dobrze liczył.

– Jak byśmy im razem zrobili krzywdę w biały dzień, to zaraz by nas o napad oskarżyli, co nie?

Chciałem mu odpowiedzieć, żeby się nie przejmował, ale Józio tajemniczo się uśmiechnął. Cały świat uśmiechnął się razem z nim, z wyjątkiem mnie. Szczeka bolała jak cholera.

– Chciałem wrócić jak najszybciej, ale mi zeszło. Poszedłem za nimi, Stasiu. Za tymi hienami, co tylko czyhały na nasze wino. Wiem, gdzie mieszkają. Będziemy mogli zgłosić napad na komendzie.

– Nie, Józiu, my nie kablujemy. Bynajmniej ja.

Nie byłem głupi. Donosy na takich nic dobrego nie przynoszą – wypuszczają ich natychmiast po złożeniu pokrętnych wyjaśnień, a człowiek dostaje kolejny wpierdol.

Józio uznał najwidoczniej moją postawę za właściwą. Uśmiechnął się. Mimo woli poczułem się lepiej.

W szpitalu niechętnie doprowadzili mnie do porządku. Pewnie chętniej zajęliby się czymś przyjemniejszym, a tu nieubezpieczony bezdomny im się trafił. Pech!

Nie trzymali mnie długo, wypuścili najszybciej jak się dało. Jakbym ich parzył w ręce. Józio na mój widok rozciągnął facjatę w szerokim uśmiechu. Ciepło mi się zrobiło na sercu. Fajnie, kiedy ktoś na człowieka czeka.

Zaopiekował się mną jak rodzona matka, a w międzyczasie zbierał i odstawiał do skupu za dwóch. Taki to kumpel mi się trafił!

Z początkiem zimy wróciłem do formy. Czas był najwyższy, by uszczelnić naszą budkę i uzupełnić zapasy opału. Zapowiadali duże mrozy, Józio usłyszał o tym od kogoś na mieście.

Zdążyliśmy uporać się ze wszystkim, zanim spadły śnieg i temperatura. Pomimo tego częściej przebywaliśmy za dnia w zaprzyjaźnionej kotłowni, bo nasz blaszak ma skłonność do szybkiego wychładzania. Nie dołożysz do piecyka, przysniesz i po balu. Drewna nie mieliśmy na tyle, żeby grzać na okrągło. Nawet gdybyśmy mieli, nie mogliśmy przecież zrezygnować ze zbieractwa, żeby pilnować ognia.

Od pewnego czasu wieczory spędzałem sam, Józio często gdzieś znikał. Miał swoje tajemnice. Nie tłumaczył się, a ja nie pytałem. Ślubu przecież ze sobą nie braliśmy.

Tamtego dnia wrócił uśmiechnięty, bardziej niż zwykle. Kobieta, pomyślałem. Też mnie tak kiedyś dopadło. – Chodź, Stasiu, mam dla ciebie niespodziankę – odezwał się uroczyście i na siłę wyciągnął mnie do miasta. Podejrzywałem najgorsze. Chce mi przedstawić ukochaną, przyszło mi do głowy. Pewnie już kombinuje, żeby z nami zamieszkała.

Szedłem z nim z duszą na ramieniu, dręczony niespokojnymi myślami. Jak mu odmówię, myślałem, stracę kumpla i radość, którą wnosił do mojego życia.

Wędrówka trwała dość długo. W pewnym momencie Józio zaczął rozglądać się bacznie wokół. Lodowaty wiatr hulał po pustej ulicy, mróz szczypał w uszy i nos.

Przy knajpie „U smakosza” Józio zatrzymał się, zajrzał przez okno do środka, poklepał mnie po ramieniu, a potem z rozanieloną miną ruszył w kierunku zaniedbanej pięciopiętrowej kamienicy. Adres: Wypadkowa 15.

Schody były strome i wysokie jak cholera, inwestorzy nie oszczędzali dawniej na wysokości kondygnacji. Kiedy wleźliśmy na samą górę, byłem porządnie zasapany.

– Odpocznij, Stasiu. – Józio wskazał mi ciemny kąt za drewnianym przepierzeniem, obok drzwi do jedyne go pomieszczenia na poddaszu. – Poczekamy sobie trochę.

Jak trzeba, to trzeba. Czekaliśmy dłużej niż trochę, zdrzemnąłem się nieco. Obudziło mnie mocne szarpnięcie za ramię.

– Już, Stasiu. Popatrz. Zerknąłem przez szparę między deskami, w słabym świetle żarówki ujrzałem dwóch gości ledwo trzymających się na nogach. – Nim zdążyłem spytać Józia o ich związek z jego nadal nieobecną ukochaną, kumpel wcisnął mi na głowę kominiarkę, a sobie na twarz założył maskę Myszki

Miki.

Nie czekając chwili dłużej, ruszył do przodu. Rozłożonymi szeroko ramionami zgarnął to, co na niepewnych nogach stało mu na drodze. Rozległ się olbrzymi rumor, dwóch pijaków zniknęło w mrocznej otchłani klatki schodowej, a w miejscu, gdzie wcześniej stali, zaległa martwa cisza.

Byłem całkowicie zaskoczony tym, co się wydarzyło. Pomyślałem, że Józio zwariował. Wyrwałem w dół, jakby gonił mnie diabeł. Mógłbym się potknąć i skrócić sobie kark. Na szczęście kompan zatrzymał mnie piętro niżej, tuż przed przeszkodą. Zaświecił w twarz leżącym na podeście. Nawet nie zareagowali.

Choć jeden mocno krwawił z rozbitej głowy, a drugi leżał zaplątany w nienaturalnie powyginane kończyny. Poznałem byczków, którzy ukradli nam wino.

Uciekliśmy z miejsca zdarzenia, nie czekając, aż z mieszkań wyjrzą sąsiedzi. Zatrzymaliśmy się dopiero w przechodniej bramie, parę przecznic dalej. Zdyszany nie mogłem wydobyć z siebie słowa. Józio natomiast sprawiał wrażenie, jakby unosił się nad ziemią, lekki jak motylek.

– Stasiu, mieli rację w tej gazecie. Najwięcej nieszczęśliwych wypadków zdarza się w domu – stwierdził, uśmiechnięty od ucha do ucha. Nim zdążyłem zareagować, dodał lekko zaniepokojony: – Bo klatka schodowa to jakby dom, co nie?

Zbaraniałem.

– A my nie jesteśmy hieny, bo nic nie wzięliśmy, co nie?

Wzruszony pokiwałem twierdząco głową, a on jeszcze bardziej pojaśniał na twarzy.

Lubię, kiedy się tak uśmiecha. Niech nigdy nie przestaje. Świat wydaje się wtedy lepszy, niż jest.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Jacek Londyn, dodano 04.08.2022 21:28

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.